

Orka na ugorze

– czyli dlaczego drugi Google nie może powstać w Polsce

CEZARY DUBNICKI

Pewnego pięknego dnia, przy bezalkoholowym piwie w „Kubusiu”, Stefan i Leszek – dwaj studenci informatycznych studiów doktoranckich na jednej z lepszych polskich uczelni – doznali olśnienia. Algorytm automatycznego katalogowania zawartości Internetu na podstawie wyszukiwań przeglądarki, nad którym pracowali, może mieć olbrzymie zastosowanie komercyjne. To przecież streszczenie milionów wyszukiwań wszystkich użytkowników według haseł i częstotliwości wejść, co każdemu indywidualnie pozwoli korzystać z nagromadzonej mądrości tłumu.

Rozentuzjasmowani studenci pobiegli szybko do swego promotora. Mieli nadzieję, że tak świetny umysł włączy się chętnie w ich planowane przedsięwzięcie komercjalizacji tego algorytmu. Niestety, szanowny pan promotor oznajmił, że pomysł jest niezły i doktoraty pewnie dostaną, ale komercyjnie on tego nie widzi; poza tym jego zadaniem jest robienie nauki, a nie *startup*-ów. W rezultacie nasi niedoszli przedsiębiorcy doktoranci zostali sami z planowanym *startup*-em.

Ale od czego są dotacje z Unii Europejskiej? Szybko założyli wspólnie firmę, wysupłali 5000 zł od rodziców na opłacenie firmy doradczej i z jej pomocą napisali wnioski w „Programie Operacyjnym Innowacyjna Gospodarka 8.1. (PO IG 8.1)”. Musieli dokładnie zaplanować wszystko na wiele miesięcy, opisać, co będą robić i w jaki sposób zarabiać. Założyli, że użytkownicy będą płacić abonament za konto z dostępem do skatalogowanego Internetu. Niesamowite – po kilku miesiącach dostali kilkaset tysięcy złotych dotacji, pod warunkiem, że sami włożą ok. 200 000. Oczywiście musieli też uiścić opłatę za sukces dla firmy doradczej – ładne kilkadziesiąt tysięcy. Na szczęście tata Leszka, który uprawia pieczarki, obiecał, że się dołoży do przedsięwzięcia syna. W końcu wystartowali.

Stefan i Leszek – nie w ciemną bici – poczytali dokładnie o Lean Startup i MVP i zaczęli sprawdzać, czy ich pomysł wypali. Po wydaniu około jednej trzeciej pieniędzy okazało się, że ludzie nie chcą płacić za dostęp do skatalogowanego Internetu. Ale nasi doktoranci nie załamali się. Po wielu dniach burzy mózgow zrobili *pivot* – czyli gwałtowny skręt – i wymyślili, że zamiast wykorzystywać wyniki wyszukiwań, mogą je ulepszyć z użyciem linków pomiędzy stronami – najlepsze strony powinny mieć najwięcej wskazujących na nie linków. Nazwali swój algorytm US – uszeregowanie stron. Do tego zamierzali zarabiać na reklamach kontekstowych związanych z wyszukiwanymi aktualnie frazami. Pełni optymizmu chcieli zmienić specyfikację zakresu prac i sposobu zarabiania w projekcie, który uzyskał dotację. Niestety, okazało się to praktycznie niemożliwe. Ponadto dowiedzieli się, że zarabianie jedynie na reklamach jest niedopuszczalne. Zamiast brnąć w oryginalny projekt, który nie dawał nadziei na sukces, postanowili więc zrezygnować z dotacji. Mimo rezygnacji mieli kilkaset tysięcy długu – wydanej dotacji – do zwrotu.

Nowy pomysł był jednak bardzo obiecujący. Na szczęście, zamiast skromnej dotacji 8.1. poniżej 1 mln zł., istnieje program na wdrożenie wynalazku – można z niego otrzymać nawet kilka milionów złotych! Trzeba tylko szybko złożyć wniosek patentowy w polskim urzędzie patentowym i z pozytywną oceną ubiegać się o dotację. Jak pomyśleli, tak zrobili. Niestety, po kilku miesiącach przyszła negatywna odpowiedź z urzędu patentowego, że algorytmu nie da się opatentować w Polsce, więc pomysł ubiegania się o dotację na wdrożenie wynalazku upadł.

Zdesperowani założyciele, po dziewięciu miesiącach prób, postanowili zapomnieć o dotacjach i zaczęli szukać bogatego współnika. Mimo, że dotarli do kilku takich ludzi, nikt nie chciał zainwestować, bo wszyscy oceniali ten biznes jako inwestycję wysokiego ryzyka, a zachęt podatkowych do inwestycji w innowację brak.

Na szczęście na początku swej drogi przez mękę, założyciele wysłali tymczasowe zgłoszenie patentowe do urzędu patentowego w USA. Kosztowało ich to 100 dolarów plus piwo dla znajomego polskiego naukowca, który spędził trochę czasu w USA i wiedział, jak to napisać. Z tymczasowym zgłoszeniem założyciele mieli rok czasu na stworzenie pełnego wniosku patentowego w USA. Po niepowodzeniach w Polsce ubłagali rodzinę o pokrycie kosztów biletów lotniczych i udali się do USA, aby porozmawiać z kilkoma „aniołami biznesu” ...

A co było dalej, to już całkiem inna historia.

* * *

Drogi Czytelniku, tutaj muszę przerwać tę frustrującą opowieść. Wprawdzie dotyczy ona alternatywnej rzeczywistości (nie ma algorytmu Uszeregowania Stron, tylko Page Rank, a Google'a nie założyli Stefan i Leszek, tylko Sergey i Larry), jednak opisane tutaj problemy są jak najbardziej realne. Mimo wydania miliardów złotych z funduszy unijnych na wsparcie innowacji w Polsce, jesteśmy w Unii Europejskiej – według najnowszego rankingu innowacji – na czwartym miejscu od końca (spadliśmy o jedną pozycję). Finansowanie innowacji za pomocą dotacji jest nieadekwatne do potrzeb, nieelastyczne i psuje rynek. Inwestycje w B+R nie mają praktycznie żadnych zachęt podatkowych. Większość pracowników naukowych polskich uczelni zupełnie nie poczuwa się do wypracowania swoich pomysłów i badań poza mury uczelni. Polski system patentowy uniemożliwia uzyskanie wielu kluczowych rodzajów patentów, np. związanych z oprogramowaniem i Internetem. W Polsce nie ma ekosystemu wsparcia *startup*-ów. Na pewno nie jest to system dotacji z ocenami „ekspertów”, z których większość nigdy nic podobnego komercyjnie nie zrobiła. Nieliczne fundusze VC (*Venture Capital*) robią co mogą, ale droga do stworzenia ekosystemu jest jeszcze daleka.





Do wymienionych wyżej problemów z innowacjami w Polsce można jeszcze dodać kolejnych kilka, co najmniej równie istotnych. Głębokie zmiany są niezbędne, ale przed ich wprowadzeniem konieczna jest diagnoza stanu obecnego, w szczególności rzetelna ocena systemu wsparcia innowacji, poparta konkretnymi danymi oceniającymi efekty dotychczasowych inwestycji. W dyskusję nad kierunkiem zmian na pewno należy mocno zaangażować osoby, które realizowały innowacyjne projekty w Polsce i na świecie. Przy tworzeniu ekosystemu dla innowacji warto też skorzystać z doświadczeń zagranicznych – także spoza Unii Europejskiej.

gażować osoby, które realizowały innowacyjne projekty w Polsce i na świecie. Przy tworzeniu ekosystemu dla innowacji warto też skorzystać z doświadczeń zagranicznych – także spoza Unii Europejskiej.

CEZARY DUBNICKI

9livesdata, sp. z o.o., sp.k.
Warszawa

Notka biograficzna:

Autor po ukończeniu studiów informatycznych w Polsce następne 19 lat spędził w USA, gdzie uzyskał stopień doktora informatyki, prowadził prace badawcze na uniwersytetach i w przemyśle oraz założył *a startup company*. Swoją karierę w USA zakończył na pozycji dyrektora wydziału laboratorium badawczego jednego ze światowych koncernów informatycznych. Od pięciu lat jest właścicielem firmy informatycznej w Warszawie, prowadzącej eksport usług informatycznych.

Autor jest pomysłodawcą największego i najszybszego na świecie systemu do deduplikacji danych, sprzedawanego obecnie w USA i Japonii.

Czy bylibyśmy na to gotowi?

Ten tekst nie jest wyrzutem pod adresem któregośkolwiek z kolejnych rządów minionego 20-lecia; adresowany jest do każdego z nich.

Z tekstu **Janusza Lipkowskiego**,
prezesa Towarzystwa Naukowego Warszawskiego,
„PAUza Akademicka” 207

Żywa jest ostatnio dyskusja na temat kondycji nauki polskiej w kontekście działań podejmowanych przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Wskazuje się na wiele, delikatnie mówiąc, niezręczności w działaniach regulacyjnych tego organu na przykładzie szczegółowych rozwiązań. Na problem kondycji nauki można, i chyba trzeba, spróbować spojrzeć z wyższego punktu widzenia.

Resort nauki jest specyficznym politycznym skansenem utrzymywanym przez wszystkie bez wyjątku kolejne rządy od roku 1990. Przez polityczny skansen rozumiem w tym przypadku każdy resort do spraw, którymi rząd nie chce i nie musi zajmować się w pierwszej kolejności.

Demokratyczne rządy w Polsce względnie szybko zdecydowały, że skansenami nie mogą być tzw. resorty siłowe (wojsko, sprawy wewnętrzne), nad którymi ustanowiono cywilną kontrolę, a także sprawy zagraniczne i gospodarka. Ostatnio, w wyniku presji społecznej, do tej grupy dołączył resort zdrowia. Praktyka w tych resortach jest prosta: premier powołuje na stanowisko ministra swojego zaufanego współpracownika-urzędnika.

Pozostałe resorty były i są „oddawane” reprezentantom środowisk przez nie nadzorowanych, przy czym zawsze takie postępowanie przedstawia się jako dowód doceniania przez rząd zarówno rangi tych resortów, jak i wagi problemów w nich występujących, z którymi nikt nie upora się lepiej niż sami zainteresowani. A w przypadku narzekania... „sami sobie jesteście winni; rząd oddał sprawy w godne ręce, nieprawdaż?”. I rząd, każdy kolejny, ma spokój, przynajmniej do wyborów. O tym, że skansenowe ministerstwa nie mogą liczyć na godne finansowanie, wspominać oczywiście nie ma potrzeby – rządy mają swoje priorytety.

I na tym można by zakończyć, gdyby nie to, że jako niepoprawnego optymistę dręczy mnie następująca wizja. Załóżmy, że rząd, ten lub kolejny, w pewnym momencie dostrzeże i pojmuje wagę nauki i szkolnictwa wyższego w rozwoju cywilizacyjnym kraju i zmienia status MNiSW ze „skansenowego” na priorytetowy. W konsekwencji premier mianuje na stanowisko ministra tego resortu swojego zaufanego współpracownika-urzędnika. Taki minister ma mocną pozycję w rządzie, liczy się z nim nawet minister finansów. W konsekwencji na szczeblu rządu, koniecznie z aktywnym udziałem ministra gospodarki, stworzone zostają ramy państwowej strategii rozwoju cywilizacyjnego kraju, w której to strategii polska nauka ma należny (bo konieczny!) udział.

Wielką niewiadomą tej kuszącej przecież wizji pozostaje jednak możliwa reakcja środowiska naukowego na taki scenariusz. Co przeważy: głosy zadowolenia z podniesienia rangi spraw nauki czy głosy oburzenia z racji kolejnego przejawu deprecjacji społecznej środowiska naukowego („Już nawet drogę do stanowiska ministra nam się zamyka!”). Warto w tym kontekście pamiętać, że „za naszą miedzą” to, co kiedyś było możliwe, stało się niemożliwe: żołnierz służby czynnej nie zostanie ministrem obrony, co w pewnym okresie było w korpusie oficerskim źródłem silnych frustracji. Frustracji bardzo ludzkich, od których również nasze środowisko nie byłoby wolne.

„Cywilna” kontrola nad resortem nauki? Czy bylibyśmy na to gotowi?

IGNACY KALISZEWSKI

Institut Badań Systemowych PAN